

Maks – decydująca runda



Tak, jak „maks” w pokerze jest kartą do pobicia, chociaż z niejedną wygrywa, tak i terierek „Maks”, z mojego opowiadania, odnosi wiele sukcesów w starciu z czarnym zwierzem, chociaż nie jest „cudotwórcą” i nie zawsze może sprostać, pokładanym, w nim nadziejom.

Podejrzewam, że tak, jak wielu pokerzystów, chciałoby mieć karcianego „maksę”, co kilka rozdań, tak ja, metaforycznie rzecz biorąc, takie „3ASY i 2 KRÓLE”, na psich łapkach, chciałbym mieć na każdym polowaniu! A dlaczego? Przeczytajcie...

Piękne, słoneczne popołudnie. Świadom dokonanych formalności w książce ewidencyjnej i Placówce Straży Granicznej, związanych z pobytem w łowisku, szedłem cicho, po klawiaturze podkładów kolejowych. Zarastający je żółty rozchodnik, wysoki rumianek i bujna trawa maskowały częściowo rude szyny, co świadczyło o tym, że od jakiegoś czasu nie przejechał tędy pociąg. Wysoki nasyp stanowił swego rodzaju taras, z którego miałem możliwość obserwowania na dużą odległość i we wszystkie strony. Nic nie wskazywało na to, że przeżyję przygodę z najwyższej, myśliwskiej półki.

Zmierałem do pola, które wzorem roku poprzedniego, obsadzone było ziemniakami i tak jak w ubiegłym roku, tak i w obecnym, ziemniaczysko odwiedzał jakiś dzik. Skutecznie je „obredłał” inkasując od ręki zapłatę, w postaci zjedzonych bulw. Nad polem królowała sędziwa lipa i postawiona przed rokiem pod nią, zwyczajka. Zeszłoroczny „gość” uchronił swój chyb, wynosząc się w nieznaną, a jedyny dowód, jaki po nim został, to rzeźbione gwizdem ziemniaczysko. I w tym roku również zanosilo się na to, bo dotychczas widzieliśmy tylko działalność dzika i nic poza tym.

Szedłem tak, po tym uśpionym torze i na moment zapomniałem o Bożym świecie, o polowaniu, o swoich aktualnych zamiarach. Wróciłem myślami do lat, kiedy po tym torze toczyła się sędziwa „ciuchcia” ciągnąc 2 wagony osobowe, albo kilka towarowych. Jako mały chłopiec, nie posiadałem się wtedy, z radości, kiedy w rodzina planowała podróż, tym kolejowym wehikułem – przejechać przez most nad Kanałem Mazurskim, zobaczyć z okna pociągu, bunkry „Wilczego Szańca” i wreszcie dotrzeć do Kętrzyna, skąd była szansa ruszyć we wszystkie strony Kraju, to było marzenie małego chłopca. A „wrak” potężnego dworca kolejowego w Węgorzewie i liczne torowiska rozgałęziające się wokół miasta, zawsze mnie absorbowały i nie mogłem sobie nigdy wyobrazić, jaki tu musiał być ruch na kolei w okresie jej mazurskiej świetności?

Potężna lipa i zarys zwyczajki wyrwał mnie z przyjemnych wspomnień. Wróciłem do rzeczywistości i ponownie uruchomiłem myśliwskie zmysły. Pomyślisz Czytelniku, że frajer - ma zwyczajkę pod drzewem, a zelówki zdziera na

kolejowym torze. Niby racja, ale... ..Specyfiką tego pola było to, że leżało ono w pobliżu miasta, w widełkach ruchliwej szosy i tegoż właśnie toru, w otoczeniu wysokich zbóż i gęsto porośniętego ugoru. Siedząc, więc na wspomnianej zwyżce, widziało się cały zagon ziemniaków, ale z tyłu kompletnie nic. I to, od tej, nie wygodnej dla myśliwego strony, przychodził cwany „tatuś”. Na domiar złego, wiatr skłonny był tu wiać właśnie, w stronę tego dziczego podejścia. Jeśli myśliwy czatował na zwyżce, to słyszał, jedynie fuknięcie i mógł już wracać do domu. Kiedy zwyżka, natomiast była pusta, to ziemniaki, „bankowo”, po mistrzowsku „obredlone”. Podejść „gościa” też nie było można, bo teren sprzyjał bezwzględnie intruzowi.

Planując w domu, jak przechytrzyć przemysłnego dzika, myślami krążyłem cały czas wokół ziemniaczanego pola. Ostatnie próby przechwycenia ziemniaczanego „amatora”, tylko potwierdziły zeszłoroczną naszą politykę. Pozyskanie odyńca, podobną metodą, czatowania, zakończy się prawdopodobnie fiaskiem. Nie wiedziałem jeszcze, jaki, ale kołatał się gdzieś we wnętrzu mojej natury myśliwskiej plan, który sprawiłby, że wreszcie dziczy szach, obróci się przeciwko niemu, w postaci szacha – mata! CIERPLIWOŚĆ, tak przydatna w wielu przypadkach, powtarzała mi nieustannie – czatuj na zwyżce, aż do skutku, dzik musi popełnić błąd i raz zmienić marszrutę. INTUICJA, kontratakowała! Ile, to razy siedziałeś na zwyżce? Dlaczego nikt w zeszłym roku nie ustrzelił „degustatora” niedoszłych frytek? Czy zachowanie rogacza, stałego tam bywalca, nie daje ci nic do myślenia? Przecież wiesz, jak wyciągać wnioski! Zburzyłem, więc powtarzany model ochrony ziemniaczyska i wybrałem opcję z torem kolejowym w roli głównej. Że ja wcześniej nie wpadłem na pomysł wykorzystania toru do obserwacji terenu!? Zrozumiałem, dlaczego widziany wczoraj rogacz, taki, na co dzień ostrożny, tak śmiało „spływał” z nasypu, w zboże niedaleko zwyżki. Pojąłem, że nieuczęszczany od lat tor kolejowy jest na swój sposób bezpieczną barierą dla wszelkiego zwierza, osłaniając go w pewnym stopniu od strony ruchliwej szosy, zabudowań, słowem od cywilizacji.

Bezpieczne, ale nietypowe miejsce na torze, wywoływało cały czas nie miłe wrażenie, że za moment usłyszysz sapanie lokomotywy. Jednak cisza, spokój i zapach czerwcowego kwiecica, pozwalały na chwilę dedukcji. Poprawiłem się na stołeczku, zerkając jednocześnie, czy niska mirabelka osłania mnie dostatecznie. Teraz zaczęło mi się to wszystko układać w logiczną całość. Idąca po torze, z przeciwka lisica z młodymi, spłoszyła się dopiero, kiedy była kilka metrów, ode mnie. Leżąca u stóp nasypu koza, z dwójką nakrapianych maleństw, podniosła się zdumiona z trawy, kiedy przechodziłem od niej kilkanaście metrów, w drodze na upatrzone stanowisko. Wyobraźnia zaczęła łokciami rozpychać się, gdzieś w głowie i uporczywie wracało pytanie – czy dzik również skorzysta z takiego bezpiecznego „kolejowego parawanu”, aby podejść do pola? Na potwierdzenie tego, że dedukcja moja była prawidłowa, z nieskoszonego kawałka kolorowej łąki wysunął się rogacz i unikając otwartej

przestrzeni jął przemykać się w kierunku miasta. Jego krótka, gruba szyja i jasne „okulary” na siwym łbie oraz oryginalne trofeum sprawiły, że zostawiłem stołek i wspinając się na wyżyny swoich umiejętności zacząłem podążać za nim, zapominając o dziku - celu mojej wyprawy. Nie czułem ile upłynęło czasu, nie wiem ile komarów bezkarnie utoczyło mi krwi? Czułem, że z każdą chwilą szansa pozyskania rogacza oddala się, wraz z przybliżającymi się rogatkami miasta. I to właśnie on postawił kropkę nad "i", bo wyszedł na tor tak, że w perspektywie miałem kolejowy dworzec! Cóż z tego, że odsłonił prawy poślec, coś z tego, że odległość była strzałowa, a cel stał nieruchomo? Mogłem tylko odprowadzić wzrokiem rogacza, który, po chwili, spokojnie znikł w niewielkim sadzie, a ja wracając do pozostawionego na torze stołka, tłumaczyłem sobie, żeby nie złościć się za spryt rogacza, a dziękować św. Hubertowi za to, że obdarował, tego pięknego popołudnia, taką porcją wrażeń. Wystarczyłoby ich na niejedno, atrakcyjne polowanie. Do obdzielenia wielu Kolegów, ku Ich zadowoleniu. Nie spodziewałem się, że Patron nie powiedział jeszcze ostatniego słowa..

....Siedzisko, do którego dotarłem, okazało się zbawienne, bo dopiero teraz poczułem w nogach trud podchodzenia rogacza i wcześniejszy spacer. Dopiero teraz dotarło do mnie, że inwazja komarów, która przetoczyła się przez moją twarz, to wynik zsuniętej, w czasie podchodzenia, ochronnej siatki. Złapałem, więc kolejny, głęboki oddech, aby doprowadzić organizm do normalnego rytmu. Poprawiając siatkę i odcinając tym samym, dostęp do twarzy, krwiożerczym insektom, liczyłem na chwilę spokoju i analizy wydarzeń, ale.....

.....Na skraju skoszonej łąki, kątem oka dostrzegłem czarny kształt. **JEDNAK JEST!** Już w lornetce określiłem dzika. Okazały pojedynek, który był w ruchu. Ułamek sekundy i trwałem i już w pozycji strzeleckiej, prowadziłem w lunecie podkasaną sylwetkę. W letniej sukni, na wysokich biegach, sterując długim gwizdem, wyglądał nieproporcjonalnie. Starając się utrzymać krzyż na karasiowatej komorze, czekałem, aż się zatrzyma. Przystanął! Krzyż znieruchomiał, padł strzał! Dzik zrobił zwrot i zatrzymał się. Nie poprawiłem, słysząc wcześniej, uderzenie kuli, a oczami wyobraźni widziałem zwierza osuwającego się na zielony dywan skoszonej trawy. I tu był mój błąd. Dzik ruszył. Nie dając już szans na powtórny strzał, znikł w przepastnej trawie, wysokiej łąki. Opadłem ciężko na stołek, nie panując nad sadystyczną adrenaliną. Ty Hubercie spisałeś się w każdym calu, a ja? Nie próbowałem nawet analizować, co zrobiłem źle, faktem było to, że dzik nie padł w ogniu.

Był duży, więc miał prawo pójść z miejsca strzału. Próbując pozbierać się do jako takiego stanu, siedziałem osowiały i odrętwiały. Nawet nie spostrzegłem, że wokół mnie robiło się coraz ciemniej.

Na miejscu strzału znalazłem farbę, po której doszedłem do skraju rozległego łąnu wysokiej trawy i nie znalazłszy dzika po 100 metrach, podjąłem jedyną w tym momencie słuszną decyzję. Tylko Darek ze swoim myśliwskim kunsztem i Jego terier „Maks”, zacięty na dziki, mogli mi pomóc. Kilka sms-ów, słynne

Darka „nie ma sprawy” i już po upływie pół godziny, pies kluczył po łące, bez większych efektów, a my traciliśmy powoli nadzieję, na odzyskanie dzika. Do naszej świadomości docierało, że mógł to być lekki postrzał i dzik się wyniósł daleko, możliwe nawet, że z szansą przeżycia. Pies głupiał w terenie. Wszystko obracało się przeciwko niemu – i wysoka trawa, i mnóstwo weksli, pachnących wyraźnie zwierzem, nowy teren i brak towarzyszki- Bery. Mowa tu o Darka drugim nabytku - Wachtelhundzie. Sympatyczna suczka - Bera, która razem z Maksem stanowili zgrany duet, siejący postrach wśród dzików, posiadający na koncie wiele akcji, zakończonych miarodajnymi sukcesami.

Rozmawiając szeptem, o suce, która musiała zostać w domu, dochodząc do sprawności, jako świeżo upieczona mama, gromadki wdzięcznego potomstwa, z nadzieją czekaliśmy na głos Maksa. W pewnym momencie, nasze szeptanie przerwał cichy i odległy oszczek psa. Darek stwierdził jednoznacznie - Maks trzyma dzika! No i zaczęło się! Naciskany przez psa, dzik uchodził w kolejną bagienka. Długo w nich nie zabawiał, a my, chociaż zawsze biegiem, docieraliśmy za późno i nie mogliśmy przechwycić zwierza na łące, gdzie istniała jedyna szansa dostrzelenia rannego zwierza. Brakowało tchu, po plecach spływał pot, słowem bezsilność. Tylko Maks nie odpuszczał i w nim była cała nasza nadzieja.

Ostatni odcinek naszego kluczenia za farbującym dzikiem, to zwarta plątanina łożyny, coraz bardziej grząski grunt, mlaskający błotem. Kluczyliśmy z Darkiem prawie po omacku, gdyż chudy jeszcze księżyc, nie miał siły przebić się przez łożowe „żałuzje”. Latarek też nie używaliśmy. Miały się jeszcze przydać, a baterie przecież, też nie są wieczne. Wreszcie dotarliśmy do celu. Na wyciągnięcie ręki, w gąszczu, ochryply szczek i ciężki oddech zmęczonego psa oraz groźne fuknięcia odyńca, przeplatane groźnym kłapaniem uzbrojonych orężem szczęk, lokalizowały główną arenę wydarzenia. Bez namysłu oddałem trójłufkę Darkowi, gdyż zaparowane okulary nie pozwoliły skutecznie kontrolować sytuacji, a poza tym, Kumpel doskonale znał swojego „Maksa” i wiedział lepiej, jak zareaguje on w danej chwili. Jeszcze jeden odskok psa, jeszcze jedno kłapanie rannego zwierza, mistrzowski strzał Darka i w rozległym bagnie, zaległa, kłująca w uszy, cisza. Odetchnęliśmy z ulgą, chociaż ciężko było uwierzyć, że to już koniec!

Wewnątrz gęstego krzaka leży nieruchomo okazały dzik, w samym środku rapciami „napisanego - testamentu”. W duchu etycznego szacunku dla pokonanego zwierza, został spełniony myśliwski obowiązek. Parujący, ciężko dyszący terier nie odstępował zdobyczy, chociaż nie miał już siły, aby potarmosić za kark swoją zdobycz. Błyszczące w latarce, mądre ślepka, patrzyły na nas wymownie? Tak, tak Maks – zagrałeś mocną kartą!! Wreszcie mogliśmy ochłonąć! W objęciach ciszy i milczenia, wsłuchiwałem się, w maestrię zabiego i owadziego chóru oraz wirtuozerię słowika, w którego koncercie uparcie wracał motyw - „dzik na rozkładzie”, aby za chwilę poprawić dźwięcznym i dla naszego ucha, radosnym - „Darz Bór”.



Koniec dwugodzinnej batalii, balansowania na krawędzi ryzyka, wystawiania na próbę własnych sił i możliwości psa. Wierzę, że Darek w tym momencie cieszył się z faktu, iż przygoda zakończyła się szczęśliwie, bo pies nie odniósł szwanku (to, że jest On cały „zakrecony pozytywnie” na punkcie psów, wiemy od jakiegoś czasu i za to Go wszyscy cenimy, ale jest to temat innej opowieści).

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Darka – „może byś wypatroszył tego „kabana” i poszedł po samochód, bo jest grubo po północy! Rzeczywiście dochodziła pierwsza w nocy. Z patroszeniem nie było problemu, troszkę dłużej trwał spacer po samochód, ale i z tym poradziliśmy sobie, tak, jak i z dociągnięciem i załadunkiem zwierza. W każdym razie po upływie jakiegoś czasu, milcząc na wspólny temat, zmierzaliśmy do punktu skupu, zdać i zabezpieczyć tuszę, tak pracowicie zdobytą. A główny bohater Maks?? Jak tylko poczuł miękki fotel, zwinął się w kłębek i nie opuścił go ani w czasie jazdy, ani na skupie, kiedy zabezpieczaliśmy, właściwie jego zdobycz. Nawet, kiedy samochód zatrzymał się w okolicy kojca, ciężko było zmęczonej psinie zwlec się z fotela i wrócić do własnych kątów.

*

Nigdy chyba piwo nie smakowało mi tak, jak w tej chwili. Siedzę w fotelu, skrajnie wyczerpany i rozhuśtany emocjonalnie. Przed oczami stoją, jak żywe, obrazy ostatnich wydarzeń. Sącząc chłodny specjał, błąkam się jeszcze myślami w łowisku. Nawet sen nie chce przeszkadzać, a ptaszki za oknem, coraz śmielej zaczynają mi towarzyszyć, witając budzący się dzień. Powoli zaspakajam pragnienie, chociaż, w swoim gronie, śmiejemy się, często, że jest to sposób nie tylko na uzupełnienie płynów w organizmie, ale i na zneutralizowanie adrenaliny, przepłukanie zakurzonego gardła!? Coś w tym jest rzeczywiście, ja jednak w tym przypadku, sącząc, to „złote połączenie jęczmienia i chmielu” myślę o czymś zupełnie innym – adresuję, w milczeniu, wiele toastów i rozważam nasze myśliwskie przygody w kategorii krótkiego słowa – PIES! I zapewne wiele razy będę dziękował, takim Ludziom, jak Darek, za myśliwską pomoc, wiele razy będziemy wspólnie rozważać podobne sytuacje, ale „palma pierwszeństwa” definitywnie należy się psu. Jego ukształtowane zmysły, ukierunkowana energia i pobudzona „żyłka” myśliwska, są niezastąpione chociażby w takim przypadku, jak dochodzenie postrzałka. Człowiek może mieć tylko satysfakcję z dobrze ulokowanych trudów, sztuki ułożenia takiego „Specjalisty”. A Maks? – jak każdy „charakterny” towarzysz łowów – obraża się na Pana, kiedy zostawia go w kojcu jadąc na polowanie, szaleje z radości, kiedy czuje, że będzie pracował w terenie, odpłaca efektami, za dobrą opiekę i przyjaźń i tylko liczne rany i blizny świadczą o tym, że nie każde zwycięstwo z czarnym zwierzem bywało słodkie i o wiele bardziej gorzka była porażka, niż się nam to wydaje.

Tobie Maks winien jestem „kość wdzięczności”, Tobie Darek myśliwskie „Darz Bór”, a Tobie św. Hubercie, wielkie dzięki, za trofeum i wspaniałą przygodę.

